№ 24. Piątek, dnia 12 Marca 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE

Tygodnik

WARSZAWA dnia 28 lutego (12 marca) 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE” wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

NA CMENTARZU.

WSPOMNIENIU ZMARŁEJ CÓRECZKI SWOJEJ

POŚWIĘCA

Bogumił Aspis.

(Ciąg dalszy).

IV.

Raz zajrzał jasny dzionek do okien mej chaty —
Świat się zbudził pod wiosny roskosznym oddechem —
Odezwały się zewsząd ptaszki głośnem echem —
Po niebie lazurowem migały szkarłaty...

Nagły blask ten rozbudził i moję ptaszynę,
W jej gniazdeczku—toż jęła słodkim swym szczebiotem
Kwilić Bogu pieśń ranną, i śpiewać też potem
Dziękczynny pacierz wiośnie, — jako ptaszki inne.

Więc ją wziąłem na ręce i, dłońmi drżącemi
Na pierś cisnąc, myśl wzniosłem do Stwórcy swojego,
Dziękując Mu, że zechciał blask ranku takiego
Roztoczyć przed mą duszą na tej jeszcze ziemi...

Wtem patrzę — poza oknem — na drzewie—zdaleka —
Śród kwiecia,—niby plama na białym kobiercu, —
Siadł kruk czarny, i jakby na świeży żer czeka,
Głośno kracze...
Dreszcz zimny przebiegł mi po sercu!...

* * *

Innym razem — to było latem znów — na łące —
Siedziałem sam z dzieciną moją... i szczęśliwy,
Że Bóg w niej dał mi kwiatek taki urodziwy,
Marzyłem... o przyszłości, rojąc snów tysiące!

Więc że wolno jest ojcu, gdy patrzy w swe dziecię,
Sięgnąć myślą niekiedy w sferę czarów błogą,
Ujrzałem tron — na tronie... zgadnijcie też kogo?...
Moję córkę!—Korony onaż warta przecie!...

Poglądam... świeci w złocie i w przepychu cała —
Do stóp jej tam rój młodzi rycerskiej się tłoczy —
Każdy ku niej z pokorą wznosi tęskne oczy —
Każdy pragnie, by rękę mu swoję oddała..
Widzę wreszcie ten lud się już rwie do oręża —
Panowie się na srogie wyzwali turnieje —
Walczą—i... krew się leje! — już i krew się leje
Za mą córkę!... a ona żadnego za męża

Nie bierze! — mówi: „mąż mój nie będzie książęciem
„Ani tym, co krwią bliźnich orną zrasza rolę —
„Innych ludzi ja całkiem, inne cnoty wolę—
„Pamiętam, żem biednego pieśniarza dziecięciem!“

Nagle patrzę — wychodzi przed tłum jakiś młody...
Ma lirę tylko w ręku... Lirę tę ustawia —
Zaczyna grać i śpiewać... W swej pieśni wysławia,
Co piękne—wzniosłe—dobre... Jak deszcz z wonnej wody,

Brzęczą tony!... Spojrzałem znowu na me dziecię...
Aż tu widzę... drżąc cała, ona z tronu schodzi...
Idzie w dół, i... gdy wszyscy cisną się k’niej młodzi, —
Podaje rękę swoję — biednemu poecie! —

Tak śniłem. Inne, jeszcze piękniejsze nadzieje,
Dał mi sen mój... O, cudneż były to widziadła!...
A ptaszka ma, — jak gdyby myśli me odgadła, —
Wciąż mi w oczy się patrzy przez ten czas — a... śmieje!

Wkońcu instynkt mnie jakiś porywa tajemny
Spojrzeć w stronę... Aż widzę—zdali—tam —w przestworzu —
Niby kra zabłocona po niebieskiem morzu,—
Płynie wprost ku nam—górą—jakiś obłok ciemny...

Gdy się zrównał już z nami, — jak wielki sęp, pióra, —
Tak on swój płaszcz roztoczył — rozwiesił go w górze...
Postał tam przez chwil parę... i przepadł w lazurze....
—O, dziś wiem już, czem były—ten kruk... i ta chmura!

(*D. c. n.*)

DEWOCYA i DEWOTKI.

(K. J.) Mamy zamiar poruszyć przedmiot dosyć drażliwy, słowa bowiem, które rozwiniemy przed wami, nie przypadną do smaku bogatej damie, wlokącej ogon jedwabnej sukni po stopniach kościoła, i nad oprawną w aksamit księgą długie spędzającej godziny. Nie podobają się i uboższym damom, obchodzącym do południa kościoły—nie przypadną do smaku tym wszystkim, którzy w rzeczach nabożeństwa wpadają w przesadę. Przedewszystkiem jed-

nak, pragnąc aby nas nie posądzono o herezyę oświadczamy naprzód, iż szanujemy przekonania religijne—że nie występujemy przeciwko tym, którzy w szczerej, z głębi serca pochodzącej modlitwie, szukają ulgi w troskach, pociechy w zmartwieniach i nadziei na przyszłość. Nie śmiemy podnosić głosu przeciw tym, którzy z prawdziwą wiarą i nabożeństwem chodzą do świątyni, aby tam westchnąć serdecznie i podnieść się myślą wyżej, w świat tylko duchowi dostępny. Nie, bo modlitwa dla dusz niektórych jest ożywczym zdrojem w którym czerpią siły, balsamem gojącym rany zadane ostremi ciosami życia.

Pragniemy tylko skreślić śmieszność, w jaką wpadają ci, którzy grzeszą zbytecznem nabożeństwem.

Największy prawodawca, stwórca wiary chrześcijańskiej, niejednokrotnie ostrem słowem gromił faryzeuszów żydowskich—nauczał, że modlitwa, bez dobrych uczynków nie jest miłą Bogu, że nie jest modlitwą. Tenże sam prawodawca nauczał, że zaniedbywanie obowiązków jest grzechem, że każdy powinien wypełniać to, co do niego należy. Często powtarzał to w rozmowach z uczniami swemi, które nam pismo przechowało.

Dla tego sądzimy, iż rozsądny czytelnik, nie posądzi nas o jakieś myśli ukryte,—zresztą nie leży w naszym programie roztrząsanie tej kwestyi ze stanowiska teologicznego; my bowiem na dewocyę zapatrujemy się tylko jako na smutną wadę, dotykającą wiele jednostek naszego społeczeństwa i to przeważnie takich jednostek, w ręku których spoczywa nader ważny obowiązek rodzinny. Wadą tą przeważnie dotknięte bywają kobiety. Mężczyzna bigot, nabożniś, to rzadki dosyć egzemplarz—dewotek zaś jest mnóstwo. Miasta nasze zapełnione są temi chorobliwemi typami, które sądząc, że pracują dla zbawienia duszy, grzeszą większem lub mniejszem zaniedbaniem najpierwszych, najważniejszych obowiązków, bo obowiązków żon i matek.

. . . .

Niegdyś, dawnemi czasy, których echo przypłynęło do nas na fali wspomnień i tradycyi—dawnemi czasy, które żyją w zapleśniałych kartach starych kronik, dewocya znaczyła zupełnie co innego aniżeli dzisiaj. W onych to czasach, nie jeden wojownik stargawszy zdrowie i siły w walkach i w utarczkach z bisurmany, bez rodziny, bez opieki, nie mając gdzie złożyć posiwiałej głowy, sprzedawał ojcowiznę i kołatał do furty klasztornej gdzie mu mnichy dawali schronienie. Zgrzybiały dziad zamykał się w ciepłej i wygodnej celi, przywodził na pamięć wspomnienia ubiegłych czasów, rozpamiętywał w duchu epizody burzliwego życia i różne rycerskiego rzemiosła fragmenty, a przewidując zbliżający się koniec, modlił się, pościł i na zbawienie duszy pracował.

Klasztor był dla niego opieką, zastępował mu rodzinę, cela mnicha po niewygodach obozu, wydawała się miłym i cieplutkim domeczkiem. Kościół miał bardzo blisko, w bibioteczce klasztornej znalazły się dzieła mądre a pouczające, w refektarzu obiad smakowity, w piwnicy miodek stary, co jeszcze pradziadów pamiętał—a Ojciec Gwardyan, człek kiedyś bywały, w teologii i różnych naukach biegły, rzeczy światowych i polityki świadomy, do gawędki ochoczy, umiał uprzyjemnić staruszkowi nie jedną chwilę, rozpogodzić zmarszczone czoło, i uśmiech z pod sumiastego wąsa wywołać.

I dobrze było dziadowi—wygodnie, spokojnie i cicho. I pomodlił się, i ksiąg mądrych naczytał, i w medytacyach nie jedną godzinę przepędził. A Ojciec Gwardyan nie jedną chwilę uprzyjemnił gawędką, lub krotochwilą ucieszną.

Nie brakło i innych przyjemności, latem czy to z wędką na rybki do rzeki, czy z rusznicą na błota, lub na orzechy i grzyby do lasu. A cóż dopiero mówić jak fest doroczny przypadł w klasztorze, kościół pełen ludu, a po nabożeństwie w refektarzu gości nie miara. Buńczuczna bracia narobiła gwaru, szeroko de publicae prawiono, i zdrowia pito a stare dzieje opowiadano. I stary weteran wąsa najeżył, wzrok zabłysnął mu dawnym ogniem a patrząc na tych *dzieciuchów*, staruszek przenosił się wspomnieniem w czasy ubiegłej młodości, przypominał owe chwile w których i on także personalites w publicznych występował imprezach i łza rozrzewnienia stoczyła się po zoranym bruzdami wieku policzku....

Wdowa samotna, straciwszy opiekuna i męża, wyposażywszy dzieci, podobnie chroniła się pod dach klasztorny szukając pociechy w modlitwie i wytchnieniu w spokoju. Piękną niegdyś głowę pokryła czarną wdowieństwa oznaką. Misyą swoją na tym świecie uważała już za spełnioną, więc oddała się Bogu i modlitwie. I dobrze jej było w cichych murach klasztoru, dokąd niekiedy dzieci i wnuki zajrzały ze świata, by kolana rodzicielki uścisnąć, by jej się pokazać o potrzeby zapytać, a miłość synowską objawić. Dobrze było w tem schronieniu starej nabożnej matronie, której całe życie przeszło cicho, spokojnie—przebrzmiało jak smętny a rzewny dźwięk fletni pasterskiej. Ta niewiasta wychowana w surowych zasadach religijnych, przepędziła życie według całej ścisłości tych zasad, była żoną serdecznie kochającą, wychowała dzieci według tej metody jaką nakreśliło jej serce nareszcie pogrzebawszy męża, wyposażywszy dzieci, widzi że jej misya spełniona... Schodzi więc ze sceny świata i zaczyna myśleć o sobie. Ciche schronienie klasztorne harmonizuje z jej cichem życiem światowem, i jest pięknem zakończeniem tego wzniosłego poematu, który czynami swemi wyśpiewała.

Otóż to za owych dawnych czasów nazywało się „osiąść na dewocyi.“

I któż nie schyli czoła przed taką dewotką, kto jej nie uszanuje i nie uczci.

Szanowano je też i czczono, nie tak jak dzisiejsze dewotki, które służą za bogaty materyał dla humorystów i satyryków.

Dzisiejsze dewotki rekrutują się po największej części w zamożnej i średniej klasie naszego społeczeństwa.

O mężczyznach niema tu co i mówić, taki typ obłudnego nabożnisia jaki widzimy w „Świętoszku“ Moliera, jest rzadkim w naszem społeczeństwie okazem; gdy tymczasem kobiet dewotek jest moc nieprzeliczona. Najliczniejszy kontyngens dostarczają zamożniejsze klassy, ponieważ matką dewocyi jest próżnowanie.

W klasie wieśniaczej wśród dzieci ludu, kobieta przygnieciona brzemieniem pracy ciężkiej, zaledwie znajdzie czas na to, aby raz na tydzień w święto, kościołek parafialny odwiedzić—a przecież przyzna każdy, że lud nasz jest bardzo religijny. Kto z nas niewidział wiejskiej kobieciny jak wstawszy o świcie krząta się po izbie, pracuje, a jednocześnie pacierz poranny odmawia. Otóż to jest wykonanie pięknej zasady „ora et labora“

Ta prosta wiejska kobieta, nie zapomina o Bogu, ale nie zaniedbuje swoich obowiązków, godzi jedno z drugiem, pracuje cały tydzień, nie spoczywa ani na chwilę, a dopiero w Niedzielę idzie do kościoła aby się pomodlić. Czyż jest przez to bezbożną?

Wychuchana zaś i delikatna pani, powstaje z wygodnej pościeli, potem klęka na aksamitnej poduszce, potem stroi się jedzie do kościoła, i tam przesiaduje do południa—czy przez to jest nabożną?

Czy jest nabożną taka pani, która dnie całe przepędza w kościele, a dzieci pozostawia na opiece bon i nianiek, która nibyto pracuje na zbawienie swoje, a podkopuje własną dłonią przyszłość najbliższych sercu swemu istot.

Zaprawdę, że nie—że prędzej bezbożną, aniżeli nabożną nazwać by ją należało, a dowo-

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

W ubiegłym tygodniu odbyła się licytacya *in plus* na wydzierżawienie altany w ogrodzie saskim, w której od lat kilku odbywa się corocznie sprzedaż wody sodowej i napojów gazowych. Dotychczasowym jej dzierżawcą był znany tutejszy aptekarz i właściciel fabryki wód mineralnych i napojów gazowych p. Karpiński. Na rok następny, począwszy od dnia 13 lipca r. b. do tejże daty r. p. wydzierżawił rzeczoną altanę pan Gronau, właściciel apteki istniejącej przy ulicy Nalewki. Cena dzierżawna na rok następny wynosi rubli srebrem 1,650. Sumka to wcale pokaźna i wymownie świadczy jak bardzo w ciągu kilku lat ostatnich rozpowszechnić się musiało w naszem mieście spożycie tego produktu, skoro się znalazł przedsiębiorca, który za samo miejsce na przedaż swojej wody gotów był zapłacić cenę 82,500 kufelków tego napoju.

Drzeworytnia warszawska, o której już kilkakrotnie czyniliśmy wzmiankę w piśmie naszem, wydała niedawno swojem staraniem i nakładem, a drukiem p. Ungra kopią drzeworytniczą pięknego obrazu pana Henryka Siemiradzkiego przedstawiającego *zburzenie Sodomy i Gomory*. Kopia rzeczona, stosunkowo do dosyć małego formatu w jakim jest wykonaną, wyszła bardzo czysto i daje o ile można dokładne wyobrażenie o tym pięknym utworze któremu koloryt dodaje podobno tyle wartości, iż ci co mieli sposobność oglądać to dzieło w oryginale zaliczają je jednozgodnie do znakomitszych utworów tegoczesnej sztuki malarskiej. Drzeworytnia warszawska obdarzyła nas już dawniej kopią *jawnogrzesznicy*; porównanie tych dwu kopii wychodzi całkiem na korzyść drugiej i daje dobre świadectwo o staranności, z jaką drzeworytnia spełnia swoje zadanie.

W ciągu miesiąca lutego rozpoczął wychodzić wskrzeszony do życia *Tydzień* piotrkowski. Trzy pierwsze numery tego wydawnictwa, jakie dotychczas mamy przed sobą, przedstawiają je ze strony bardzo korzystnej i dowodzą, iż redakcya pojęła potrzeby społeczeństwa, któremu pracę swoję poświęca. Nie wątpimy ani na chwilę, że *Tydzień* zajmie należne mu stanowisko w rzędzie naszych pism prowincyonalnych i że spełniając ze zrozumieniem swoje posłannictwo, potrafi sobie wyrobić uznanie i poparcie ogółu. Redaktor i wydawca *Tygodnia*, pan Antoni Porębski niejednokrotnie już wykazał, że zna warunki bytu ludności Piotrkowa i jego okolic, dlatego też nie wątpimy, iż odpowie położonemu w nim

dzić tego nawet nie potrzeba, gdyż każdy łatwo pojmie prawdę.

Mniejsza wreszcie o bogatą damę z wielkiego świata, za którą galonowane draby dźwigają księgi francuzkie bogato oprawne (bo pani nawet w kościele używa języka salonów)—takich jest bardzo niewiele, a i tak z małym wyjątkiem wszystkie próżnują, mało która zajmuje się wychowaniem swych dzieci. Z tych pań i tak i owak niewielka światu pociecha. Ale żony tych mężów, którzy z ciężkiej pracy muszą swoją rodzinę utrzymywać—te panie które nie mają ani bon ani guwernantek, a przepędzając całe godziny po za domem, pozostawiają dzieci jedynie na opiece służących, te panie powinnyby zwrócić na siebie uwagę i stać się rzeczywiście nabożnemi, zasługując się niebu dobremi uczynkami, a przedewszystkiem pełnieniem swoich obowiązków.

Źle zrozumiane nabożeństwo jak i wszystko co źle zrozumiane, przesada, wpadanie w ostateczność, prowadzi do bardzo smutnych konsekwencyi i sprawdza słowa pewnego pisarza, który powiedział, że dzieci matek zbytecznie nabożnych, odznaczają się brakiem religii. I cóż dziwnego, kto je ma uczyć, kto ma w nie wpajać zasady moralności i cnoty, gdy szanowna rodzicielka, całe przedpołudnie przepędza na obchodzeniu kościołów.

Typ dewotki często bywał na warsztacie humorystów i komedjopisarzy i rzeczywiście przedstawia on bardzo wiele komicznego materyału. Tu przesadzone nabożeństwo, oddanie się całym duchem niebu, a przytem pewna drażliwość na błachostki, ploteczki i nieustanne powtarzanie o miłości bliźniego—gawędki o przebaczaniu uraz, i drobne zawiści i nienawiści sąsiedzkie, wszystko to zebrane razem w typie dewotki, tworzy mnóstwo sprzeczności i kontrastów, a przez to naturalnie i komiczności. Pani powraca z kościoła, gdzie usłyszała kazanie o przebaczaniu uraz, o łagodności i cierpliwości, powraca z kościoła do domu i znajduje: że służąca nie zrobiła tego co do niej należało, że dzieci się nie uczą, i pani naturalnie wybucha gniewem, unosi się, i zadaje fałsz własnym swoim myślom i postanowieniom przed chwilą w kościele powziętym. Żyjąca ciągle myślą z wysoka pojmowanej moralności, znajduje różne wady, w swych bliźnich, i nie szczędzi tych bliźnich, lecz przy sposobności przypina im zręczne łatki, obmawia chcąc niby tym sposobem naprowadzić błądzących na drogę poprawy i cnoty.

Tak więc na każdym kroku wpadają w śmieszność, nie wiele pomagają sobie, a szkodzą bliźnim.

Mniej szkodliwym, bo tylko dla siebie samej jest stara panna dewotka, ta niema obowiązków żadnych prawie, a samotność jej usprawiedliwia poniekąd tę wadę.

Każda jednak kobieta, która zasługuje na miano dewotki, robi wrażenie smutne i przykre na każdym, kto się poważniej zapatruje na życie. Istoty te są jakby spaczone, są nienaturalne, przykre, zgryźliwe, skłonne do obłudy i osobliwsze amatorki plotek i roztrząsania wad bliźnich swoich.

Wszyscy komedyopisarze, którzy wprowadzali na scenę postacie dewotek, łączyli w nich wyżej wymienione wady, a jedną z lepszych tego rodzaju sylwetek, wykroił Narzymski w Epidemji. Właśnie tam on przedstawił matkę dewotkę, przesiadującą po całych dniach w kościele, a nie widzącą tego, w jakich towarzystwach przebywa małoletni jej synek i jak szybkim krokiem dąży do zupełnej ruiny moralnej i materyalnej. Wtenczas dopiero, kiedy synalek doszedł już do kraty więzienia, wtenczas otworzyły się oczy matki, płacze, rozpacza i usprawiedliwia się przed własnem sumieniem tem, iż modliła się gorąco na jego intencyę.

Obrazek to narysowany dość jaskrawo, niemniej jednak nie pozbawiony prawdy; nie tylko na deskach scenicznych, ale i w rzeczywistości dzieje się częstokroć to samo. Podobne epizody z mniejszemi lub większemi waryantami, mają miejsce i na tej wielkiej scenie, która się zowie życiem. Nie jedna matka patrząc na dorosłe dzieci, łzami oblewa owoce ich wychowania zaniedbanego z przyczyny przesadzonej jej nabożności. Cóż z tego, kiedy zwykle refleksya przychodzi za późno, kiedy nie czas już naprawić złego. Łza żalu może i ulgę przyniesie, ale poniesionej straty już nie wynagrodzi.

Słyszeliśmy raz, jak pewien światły kaznodzieja gromił z ambony ostrem słowem przesadę w nabożeństwie, z zaniedbaniem obowiązków i powinności swoich.—A słowa które głosił, popierał cytatami z pisma i powagą uczonych ojców kościoła, widać więc, że i kościół nie chwali dewocyi. I nie może chwalić tego co jest złem, co bezpośrednio i pośrednio szkodę przynosi.

Lecz na co się przyda szerokie rozwodzenie w tym przedmiocie. Złe jest bardzo silnie wkorzenione, a do uleczenia tem trudniejsze, że te które je popełniają, mają to wewnętrzne przekonanie, że postępują jak najlepiej, i że nie powinny nigdy schodzić z drogi, którą sobie wytknęły.

Smutna to droga.

Haliczanin-Ziewonia.

Z KSIĘGI WSPOMNIEŃ

K. Wład. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Łączyły go ścisłe, przyjacielskie stosunki z Bielowskim on też w pięć lat później wydał *pisma* Goszczyńskiego (Lwów 1838 r. nakładem Fr. Pillera i Spółki) we trzech tomach w starannej edycyi, której tom pierwszy, obejmuje *Zamek Kaniowski* i *poezye liryczne*, dwa zaś następne przekłady całego Ossyana podług oryginału *Makfersona*. *Sobótkę* wydawca opuścił, z tego powodu że miała właściwą przyjąć formę w obszerniejszych ramach powieści poetycznej. Zbiór prac Goszczyńskiego następnie się pojawił z nowemi utworami obok znanych, ale tylko w tej edycyi raz jeden przekład Ossyana mamy [1].

Lucyan Siemieński, właśnie ukończył mistrzowski swój przekład *Rękopisu Królodworskiego*, owego arcydzieła starożytnej poezyi czeskiej—do którego żaden z poetów Czechii zbliżyć się nie potrafił.

Niemożna dość uwielbiać prostoty i poetyckie barwy tych pieśni, które w tłómaczeniu Siemieńskiego nie utraciły i najwierniej oddają myśl—treść i miarę nawet oryginału. Z tego przekładu Bielowski *w Ziewonii* wydrukował *Turnieje*, *Zbichona*, i kilka drobniejszych wierszy. Oprócz tego dał do tegoż noworocznika powieść p. n. *Cień królowej Barbary*, do której za osnowę wziął podanie dawne, że sławny czarnoksiężnik *Twardowski* ukazał Zygmuntowi Augustowi cień zmarłej i tak ukochanej małżonki królowej *Barbary*. Skąpawszy ducha w szczytnej poezyi *Rępopisu Królodworskiego*, napojony atmosferą z ostatniego wieku bałwochwalstwa słowian, kiedy *Zabój* występuje w obronie swoich bogów i *krogulców* wypędzonych ze świętych gajów, i pierwszych stuleci wprowadzonego chrześcijaństwa, napisał w tej też dobie rapsod oryginalny pod na-

[1] W tymże samym roku gdy zbiór ten pism Goszczyńskiego Bielowski we Lwowie ogłosił: Józef Borkowski w wydanych *Pracach literackich*, pomieścił dwa jego liryczne utwory: *Skrzypek na księżycu* i *do Trzydziestoletniej kochanki*.

---

zaufaniu i przy dobrze dobranem gronie współpracowników da swojej okolicy organ, będący wyrazem życia i potrzeb jej mieszkańców. Zanim obszerniej pomówimy o wznowionem wydawnictwie *Tygodnia*, witamy z radością ten nowy objaw ruchu umysłowego na prowincyi a panu Porębskiem u życzymy z całego serca wytrwałości i powodzenia.

Odżył również pod nową redakcyą pana Teofila Głębockiego *Kuryer Lubelski*, którego wydawnictwo z powodu śmierci dawnego redaktora i wydawcy chwilowo było zawieszonem. Należy się spodziewać, że pan Głębocki potrafi nadać *Kuryerowi* żywotność jakiej mu tak bardzo dawniej brakowało i że tym sposobem zyskamy czwarty organ prowincyonalny spełniający z pożytkiem dla ogółu swoje zadanie. O piątem bowiem piśmie prowincyonalnem t.j. o *Gazecie Łódzkiej* pod żadnym względem powiedzieć tego nie możemy.

— Piszą nam z miasta Łodzi:

„Zanim obszerniejszą korespondencyą prześlę do szpalt waszego pisma przyjmijcie dziś wiadomość o kilku objawach prowincyonalnego naszego życia. Według przyjętego, choć może nie koniecznie słusznego obyczaju korespondentów, zaczynam od wspomnienia o ubiegłym karnawale. Bawiono się u nas w tym roku mniej niż zwykle, a przynajmniej nie tyle było balów i tańcujących wieczorów. Gościł zato teatr p. Trapszy, który cieszył się dobrem powodzeniem, zanim wyruszył stąd do Łomży. Nawet o maskaradach mógłbym powiedzieć, że się nieźle udawały, gdyby nie wspomnienie o nastąpionym po jednej z nich smutnym i skandalicznym dosyć wypadku. Obecnie mamy przedstawienia trupy niemieckiej w *Paradyzie* i szereg przedstawień amatorskich w sali teatralnej p. *Sellina*. Dochód z nich przeznaczony jest na zapomogi dla uczniów tutejszej szkoły handlowo-rzemieślniczej—a pierwsze, które się odbyło dnia 1-go marca, bardzo się dobrze pod każdym względem powiodło.

Przechodząc do rzeczy poważniejszych muszę wam donieść że agituje się u nas projekt wniesienia do właściwej władzy zbiorowego podania, wykazującego potrzebę połączenia naszego miasta z Łęczycą drogą żelazną, któraby przechodziła przez Zgierz, Ozorków i inne miejscowości fabryczne. Ale cyt—nie uprzedzajmy wypadków. Wkrótce może pomówię z wami obszerniej—a teraz do widzenia."

Dowiadujemy się o nowej fabryce kopert, którą w tych dniach zamierzają otworzyć w Warszawie. Fabrykować koperty, na pozór rzecz mała i mało zdająca się przynosić korzyści tak dla ogółu, jak i dla przedsiębiercy. Gdybyśmy jednak obliczyli ilość listów przychodzących i wychodzących codziennie

pisem: *Trąby w Dnieprze*. Na lat siedem czy osiem przedtem *Tymon Zaborowski* ten sam przedmiot z czasów Bolesława Chrobrego wziął za osnowę do wielkiego poematu bohaterskiego i znaczne z niego ustępy drukował w *Ćwiczeniach naukowych*. Obok pełnego prostoty obrazu *Anieli i Dobromira*, występuje i *Błud* czarownik, którego też Siemieński nie pominął. Ale Zaborowski, jakkolwiek z prawdziwym talentem poetycznym, powinięty jak w pieluchy, w formy klasycyzmu, nie mógł z nich się wydostać — bił się jak orzeł w żelaznej klatce, łamiąc i krwawiąc skrzydła, roniąc najlotniejsze pióra, nadaremnie, bo wylecieć nie potrafił z pęt niewolniczych. Siemieński w szczęśliwszych daleko chwilach rozpoczął swój zawód literacki. Walka klasyków z romantykami skończona, nowe pojęcia już na ich ruinie zatknęły zwycięzki sztandar; a zwrót młodej generacyi ku pieśniom i podaniom ludowym, ku zabytkom starożytnej słowiańszczyzny, rozjaśnił i otwarł nowe, szerokie, a nieznane niwy, pełne kwiecia i bujnych kłosów, o których marzył tylko w swej wyobraźni młody piewca *Dum podolskich*.

W szczęśliwej chwili natchnienia, wolny jak sokół bujając swobodnie po tych niwach—stworzył arcydzieło, bo zaprawdę rapsod ten był, jest, i pozostanie na zawsze genialnym utworem.

Zaledwie napisał, przybiegł do mnie, i pokazał mi go, z „niedobrze zaschłym atramentem" jak sam wyraził.

— Siadaj i słuchaj!—rzekł do mnie....

Ja fajkę zapaliłem i czekałem rozpoczęcia—ale Lucyan zaledwie cztery wiersze przeczytał, tak mnie niegodziwem swojem czytaniem zniecierpliwił, żem wyrwał mu rękopis, i sam zacząłem czytać. Od początku do końca byłem w zachwyceniu, a gdym skończył, wracałem do niektórych ustępów i z uniesieniem deklamowałem...

Siemieński przebaczył mi moję niecierpliwość, i rad był wrażeniu, jakie uczynił na mnie ten wzniosły, porywający utwór.

Z prac jego innych w owej porze, więcej nie znałem.

Kiedy druk się pierwszych arkuszy Ziewonii rozpoczął, w popołudniowej godzinie, wszedł do mnie młody człowiek z nadzwyczaj sympatycznem obliczem. Średniego wzrostu, oblicze okrągłe, i białe, bujny wąs zdobił. Miał *zyza* w spojrzeniu, ale jakto mówią, było mu z nim do twarzy. Głos dźwięczny—lubo litery *r* dobrze niewymawiał. Chwila ta staje mi i teraz przed oczyma, jakby to było przed parą dniami. Na piersiach błyszczał krzyż *Virtuti militari*.

— Jestem Wincenty Pol—rzekł do mnie, a podając mi spory rękopis dodał — chciałbym ażebyś pan odczytał i dał mi swoje zdanie czy to warte druku?

Imię to pierwszy raz usłyszałem: poprosiłem go aby spoczął i po krótkiej rozmowie wyszedł. Było to pierwsze moje poznanie z wielkim poetą, z którym następnie w ścisłych stosunkach przyjacielskich zostawałem.

Na samym progu — spotkał się z przychodzącym Bielowskim i podali sobie ręce.

— Znasz go?—zapytałem tłómacza *Wyprawy Igora*.

— Bardzo dobrze!—To człowiek z wielkim talentem, stara się o miejsce kustosza w Zakładzie imienia Ossolińskich, ale bardzo wątpię żeby je dostał, lubo ze wszech miar na to zasługuje. Ale nie wiesz jakiego on figla wypłatał Niemcom. Doskonale władając językiem niemieckim, wydał broszurę w Dreźnie bawiąc, o naszych z Rusi Nad-Prucia ślepcach ludowych, i dał zbiorek ich pieśni. Ale Pol najprzód obrobił je po polsku, oczywiście wyszły one nader poetycznie, i dopiero przetłómaczył na niemiecki. Książeczka ta, poruszyła niemało Niemców, kilku przybyło do Galicyi dla poznania tych śpiewaków ludowych i owych ślicznych pieśni, ale daremnie i jednych i drugich poszukiwali.

W kilka dni później zgłosił się Pol po swój rękopis: zwróciłem mu go zachwycony będąc temi pieśniami Janusza, które dały poecie odrazu tak wielki a zasłużony rozgłos.

— Drukuj to kochany panie i jak najrychlej: niech ogół znajdzie w tych cudnych utworach tę rozkosz dla duszy, jaką ja znalazłem przy ich czytaniu. To skarby prawdziwe dla literatury naszej. Mówiłem te słowa ze szczerym zapałem. Widziałem na miłem a szlachetnem obliczu młodego wieszcza prawdziwą radość, bo podał mi rękę i uścisnąwszy serdecznie dłoń moję, pokręcił wąsa, jako miał zwyczaj.

W późniejszych dopiero latach, zbliżyliśmy się więcej, za pobytem Pola z Franciszkiem Wężykiem w Warszawie a potem w Krakowie i Krzeszowicach, gdzie dotknięty ślepotą, lato zwykle przepędzał.

(*D. c. n.*)

O DESZCZU
i
pokrewnych mu zjawiskach.

Rzeczą jest bardzo naturalną, że rzadkie zjawiska przyrody silniej podniecają naszę ciekawość, niż zjawiska pospolite, powszednie, codziennie niemal około nas się odbywające. Kometa zaciekawia nas silniej, niż gwiazda błyszcząca każdej nocy na sklepieniu niebieskiem; częściej pytamy o wyjaśnienie zaćmienia słońca, niż o wytłómaczenie codziennego jego wschodu i zachodu. Dla umysłu wszakże myślącego, dla człowieka zastanawiającego się nad rzeczami, które go otaczają, wszystko zarówno powinno być godnem uwagi, powiedziałbym owszem, że przy rozwiązywaniu zagadek, jakie nam przedstawia przyroda, jakie napotykamy przy rozważaniu otaczającego nas świata, zjawiska częstsze i powszedniejsze poprzedzać winny to, co jest rzadszem. Dla tego też pozwalam sobie zająć czytelników rzeczą tak powszednią, jaką jest deszcz i pokrewne mu zjawiska.

Deszcz, wiemy, jest to woda spadająca na ziemię w postaci kropel z górnych warstw atmosfery. Tu pierwsze nastręcza się pytanie, skąd ta woda powstaje—czy to duch jaki łaskawy lub gniewny, znosi ją nam z innego świata, z przestrzeni wszechświatowej, czy też, jest to taż sama woda, co wypełnia nasze morza, jeziora i rzeki. Oczywiście nikt się w odpowiedzi zawahać nie może; gdyby bowiem woda deszczowa pochodziła z poza świata ziemskiego, bardzoby rychło przepełniła wszystkie swe naturalne zbiorowiska, i ziemia dawnoby już była zalaną. Jakkolwiek jednak rzecz ta jest prostą, należy się nad nią bliżej zastanowić. W ogóle, gdy badacz przyrody pragnie wytłómaczyć wielkie jakowe zjawisko natury, rozpatruje się przedewszystkiem, czy czegoś podobnego nie dostrzegł kiedy na małą skalę w swej pracowni; tu łatwiej uchwycić może przyczynę zjawiska i stara się je zastosować do wielkich działań w przyrodzie. Otóż, bardzo nam będzie łatwo odszukać zjawisko, które nam wszystkim jest bardzo dobrze znanem, a które się wybornie nadaje do odcyfrowania przyczyny deszczu.

Dajmy, że na ognisku gotuje się woda w zamkniętym garnku, jeżeli po pewnym czasie podniesiemy pokrywę, ujrzymy, że jej powierzchnia pokrytą jest drobnemi kuleczkami wo-

---

z Warszawy, gdybyśmy porachowali wszystkie korespondencye, zaklejone w koperty, wymieniające się w ciągu dnia jednego w samej Warszawie, przekonalibyśmy się, iż tak nie jest, i że setki setek tego rodzaju towaru, idzie codziennie na śmieci, będąc zastąpionym przez nowy. Dlatego też otwarcie podobnej fabryki, któraby dostarczała wszelkiego rodzaju kopert, od najozdobniejszych do najprostszych, może zapewnić korzyści dla producentów, i przyczynić się do zatrzymania w kraju kapitału, jaki corocznie przechodzi w ręce zagranicznych fabrykantów, szczególniej za koperty ozdobne, sprowadzane przeważnie z zagranicy.

Gimnastyka dająca możność wyprostowania kości starszym, zmuszonym siedzieć po kilka i więcej godzin przy pracy, młodszym zaś nastręczająca sposobność użycia ruchu tyle potrzebnego dzieciom, nie powinna być tak zaniedbywaną, jak to widzimy, zwiedzając kilka krotnie zakłady gimnastyczne. Doprawdy, tak większy pożytek i dla zdrowia i uformowania swego ciała odniosłaby dziatwa z ćwiczeń gimnastycznych, aniżeli z lekcyi tańca, uważan ego za niezbędny dodatek do zaokrąglenia wychowania. Ludzi nie umiejących wykonać najłatwiejszych ćwiczeń gimnastycznych, fechtować się, robić hantlami, pływać i t. p., trudno znaleść więcej gdziekolwiek bądź zagranicą, jak u nas. Wiele razy żałuję się chwil, które spędzono w młodości nad szachownicą lub na gawędzie przy czarnej kawie, które przyjemniej i z większym pożytkiem dla rozwinięcia się siły, można było przepędzić na gimnastykowaniu się. Bilard, zwolennicy karambulów, kręgielków i piramidki, uważają za rodzaj ćwiczeń gimnastycznych, zdaje nam się jednak, iż łudzą się tylko owym ruchem pozornym, wykonywanym przez kilka godzin na około bilardu. Więcejby go użyli i wkrótszym przeciągu czasu na lekcyi fechtunku lub gimnastyki, które w każdym razie więcejby dały ich wyblakłym twarzom rycerskiego wyglądu, niż ten, jakiego przez trzymanie obciążonego ołowiem kija nabywają.

— Przeżyliśmy już pierwszą połowę wielkiego postu, a mając do syta wszelkiego postnego pożywienia, zacząwszy od sielaw wędzonych a skończywszy na prelekcyach, koncertach i widowiskach, nie wyglądamy tak źle, byśmy się mieli drugiej połowy postu obawiać. Co prawda, to nie tak jeszcze źle w tej Warszawie, jak to niektórzy pesymiści i malkontenci utrzymują, jeśteś głodny materyalnie lub moralnie, znajdziesz i dla ciała i dla ducha pożywienie, byle tylko kieszeń w dwuzłotówki zaopatrzoną była. W dalszym ciągu prelekcyi na osady rolne przemawiali pp. Milicer i May-

dy, które zwolna spływają, łączą się w krople większe, a te skutkiem ciężaru swego, odrywają się od pokrywy i spadają. Nikt nie zaprzeczy, że mamy tu przed sobą zjawisko, bardzo wprawdzie drobne, ale jak najdokładniej przypominające nam deszcz. Cóż się dzieje w garnku w czasie gotowania?

Wiadomo, że jeżeli ogrzewamy ciała stałe, np. wosk, ołów, lód—takowe się topią i przechodzą w płyny, jeżeli znów ogrzewamy dostatecznie płyny—wodę, alkohol, olej—takowe się ulatniają, t. j. zamieniają się w pary, które uchodzą w powietrze. Wpływ ten ciepła nazywamy zmianą stanu skupienia; mówimy, że ciepło niszczy spójność ciała, i że stąd ciała stałe zamieniają się w ciekłe, ciała ciekłe w lotne, t. j. w pary. Otóż, gdyśmy wodę gotowali, ta zaczęła wrzeć, t. j. zaczęła przechodzić gwałtownie w stan pary, która, jeżeli naczynie jest otwarte uchodzi w powietrze, niewidzialna dla nas, gdyż jest bezbarwną i od powietrza odróżnić jej nie możemy. Wprawdzie nad naczyniem wrzącej wody widzimy rodzaj mgły, który nazywamy parą, i w tem rozumieniu para uchodząca daje się dostrzedz, ale nie jest to już właściwie para; para dostając się w przestrzeń zimniejszą ochładza się i nie może już pozostać w tym stanie lotnym, ale się znowu skrapla; wprawdzie tworzy ona przytem niesłychanie drobne kropelki, a raczej pęcherzyki tak lekkie, że się mogą utrzymywać w powietrzu i one to właśnie, widzimy wydobywającemi się z nad gotującej się wody i są tem co w pospolitem życiu nazywamy parą—para wodna właściwa jest niewidzialną. Tak samo w czasie mrozu widzimy z ust ludzi wyrywające się kłęby pary, nie jest to już właściwa para, a para skroplona w drobne pęcherzyki; para tak samo wychodzi z ust naszych i w lecie, wraz z wydychanem powietrzem, ale ciepłe powietrze otaczające nie wywołuje jej skroplenia, jak w zimie. Otóż w powyższym przykładzie podobne skroplenie ma miejsce i w owym garnku zakrytym: para wydobywająca się z wody uchodzi w górę, wyrywa się w części około pokrywy nie ściśle do ścian naczynia przystającej, w części się pod pokrywą nagromadza i jeżeli ta pokrywa jest nieco chłodniejszą, para się na niej skrapla a zwłaszcza gdy pokrywę trzymamy w pewnej wysokości nad naczyniem, tak aby nieco więcej ochłodnąć mogła, widzimy wyraźnie, jak się na niej nagromadzają krople wody, powstające z pary w skutek skroplenia.

Czyby coś podobnego nie miało miejsca i przy powstawaniu deszczu, czy być nie może, iżby woda deszczowa pochodziła także ze skroplenia pary wodnej? Ale zapytamy dalej, skądby się para wodna wzięła w powietrzu; jest wprawdzie na ziemi dosyć wody w morzach, aleć nie widzimy aby się morza te gotowały i aby z nich wyrywała się para, podobnie jak z kotłów naszych. To prawda, ale aby się para tworzyła, nie koniecznie potrzeba, iżby woda wrzała, owszem para wydobywa się z wody przy każdej temperaturze, przy każdym stopniu ciepła, nawet z wody najzimniejszej, chociaż w mniejszej ilości. Najbliższy tego dowód mamy w wysychaniu wilgotnych przedmiotów w zwykłem cieple, w zwykłej temperaturze; gdy mokra bielizna schnie na dworzu, znaczy to, że cząstki wody, które do płótna przylegają, zwolna się ulatniają, przechodzą w parę, która się miesza z powietrzem.

(*D. c. n.*)

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE
od X-go do XII-go wieku.

szkicował
ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

Poppo osiadając w nowym polskim grodzie spotkał się z tradycyami czeskiemi i pogańskiemi. Ś. Wacław mianowicie, aż do chwili gdy go św. Stanisław wyparł z tego stanowiska, pozostał patronem dyecezyi krakowskiej, i katedry na Wawelu. Na Wąwelnicy, Skałką zwanej, wedle podań Długosza, odciętej od zamku korytem rzeki Wisły, wznosiła się świątynia świętego Michała, okrągło, z białego kamienia budowana. Podobnie, jak kościołek ku czci św. Wojciecha, stanęła ona na miejscu bożnicy pogańskiej. Jezioro zaś, uświęcone później wspomnieniami św. Stanisława, wedle tegoż Długosza, zgromadzało na swych brzegach ofiarników bałwochwalczych, zanim chrześcijaństwo w Krakowie zaszczepiono.

Podobne ognisko dawnego kultu miał i Jan Wrocławski pod bokiem. Słynna góra Sobótką dotąd zwana (Zobtenberg) jeszcze za czasów Dytmara (1018 r.) słynęła z pogańskich obrzędów—Rejnbern zaś musiał dopiero katolicyzmowi drogę torować w swej dyecezyi, wytępiając dawne wierzenia. O dalszych na zachód Lutykach opowiadano, że w pewnych chwilach dzik, świecący białemi kłami i pianą morską, z fal się wynurza, na brzeg wychodzi, i tarzając się w odpłóczyskach, z wielkim zgiełkiem—jest dla okolicznych mieszkańców wróżbą długich a okrutnych wojen. Rejnbern kołobrzeski swą czynność w „słonem,“ (jak je zwie Dytmar), mieście zaczął od poświęcenia morza, które takie pogańskie wróżby w swem łonie kryło. Cztery poświęcone kamienie w głąb fal rzucone miały zniszczyć bytowego odyńca, którego postać zdaje się być miescowym symbolem bałwanów wzburzonych.

Rzecz godna uwagi, że sam Gaudenty-Radym, jak nam opowiada Gallus, był przymuszony rzucić klątwę na nową swą archidyecezyą. Jak z późniejszych wypadków za najazdu Czechów, (1036—39), zaszłych godzi się wnosić, Gaudenty, podobnie jak Sewer biskup pragski w owej epoce najazdu na Polskę osierociałą z panujących i duchowieństwa—musiał zagrozić klątwą wszystkim tym, którzyby od praw nowego zakonu w dawne błędy pogańskie wrócili. Skoro to nastąpiło, arcybiskup z groźby się uiścił. Co prawda, na każdym kroku, pod swoim bokiem, Radym-Gaudenty spotykał się z wspomnieniami dawnej wiary, które aczkolwiek może przekształcone, przeszły do kronik stosunkowo późnych (bo XII wieku) i to ręką duchownych pisanych.

Stanął na zamku gnieźnieńskim kościół św. Jerzego, mimo to zachowało się (aż do XV-go wieku) podanie o istnieniu w Gnieźnie pogańskiej świątnicy bożka Nua czy Niia. Długosz, który o nim pisze, nazywa go bożkiem śmierci, i słusznie, bo na Wołyniu koło Cudnowa dotąd znają wielkanoc nawską to jest zmarłych (nieb-oszczyków, którzy i u nas w swej nazwie dochowali śladu owego Nui). W Połocku r. 1091 „nawije“ to jest takie nieb-oszczyki pojawili się, raniąc kopytami (jedynie widzialnemi) swych koni przechodni. Widać stąd, że tych Nawijów wystawiano sobie jako jezdnych. Gdy zaś lud Neurów albo Nawarów (Nawarhali), już w nazwie zdradzający cześć swą dla zmarłych, uciekał przed smokami (wedle Herodota), mamy tu wskazówki związku boga śmierci, w Gnieźnie czczonego, z końmi i smokiem, (a nawet i z wilkołactwem) podobnie jak je objawia postać św. Jerzego, który został patronem kościoła zamkowego w Gnieźnie.

Skoro dotąd tradycya żyje w Gnieźnie wedle Łepkowskiego, że kościół ś-go Jerzego stanął na minach pogańskiej bałwochwalni, możemy śmiało stąd wywnioskować, że w tem zastąpieniu dawnego bożka podobną mu po-

---

zel. Pierwszy mówił o *ciałach wybuchających* urozmaicając ciekawy swój odczyt chemicznemi doświadczeniami, wprawiającemi w zadziwienie ogół słuchaczek i słuchaczów. Pan Mayzel mówił; „O zapewnieniu bytu rodzinie za pomocą ubezpieczeń na życie.“ Kwestya to bardzo interesująca, zgromadziła też do sali ratuszowej sporą ilość ciekawych usłyszenia czegoś o niej, i zapoznania się z nią bliższego—gdyż dotąd ubezpieczenia życiowe, znane są większej części Warszawian li tylko z ogłoszeń różnych agentur. Pan Mayzel jasno i zwięźle przedstawił słuchaczom korzyści jakie mogą osiągnąć z ubezpieczeń na życie—zachęcając do nich. Z dziesięciogroszowych odczytów, mieliśmy odczyt pana J. Spornego inżyniera, o „*wodzie i wilgoci.*“ Pan Sporny zwrócił uwagę na wilgoć trapiącą wielu lokatorów: wykazał jej przyczyny i podał środki mogące ją usunąć. Jakkolwiek wiele mieszkań awdzięcza wilgoć swą lokatorom, mimo to jednak warto, aby panowie właściciele domów postarali się usunąć wilgoci chroniczne w niektórych domach, nabawiające biednych lokatorów reumatyzmów, artretyzmów i innych *yzmów* ciężko dających się we znaki.

W sobotę i w niedzielę w salce teatru dobroczynności uczniowie i uczennice ś. p. Jana Chęcińskiego, odegrali trzy jego komedye, na dochód pozostałych nieletnich sierot, po przedwcześnie zmarłym autorze. Widowisko poszło bardzo gładko —„Cicha woda brzeg rwie“ i „Ciekawość pierwszy stopień do piekła“ znane są dobrze publiczności. Trzecia: „Przed obiadem i po obiedzie“ grana zaledwie dwa razy na scenie Teatru Rozmaitości, jest pełnym prawdy życiowej i humoru obrazkiem. O ile wiemy widowisko to z małemi zmianami ma być jeszcze raz powtórzonem.

W sali resursy obywatelskidj dawał koncert na fortepianie p. Bolesław Domaniewski, młody aspirant do zawodu artystycznego, nie rokujący co prawda zbyt świetnych widoków na przyszłość. Artyści opery włoskiej wykonali Roberta dyabła—a wykonali go lepiej niż wszystko co wykonywali do tej pory. W Teatrze Rozmaitości przedstawiono w sobotę przysłowie Kraszewskiego: Kosa i kamień; sztuka ta prześlicznie napisana, bardzo się podobała. W niedzielę ujrzeliśmy wznowiony dramat Korzeniowskiego: Okno na pierwszem piętrze. Tyle faktów spełnionych!.. Co będzie dalej — zobaczymy.

stacią świętego katolickiego kierowali się duchowni nasi zasadami papieża Grzegoża W-go, który wyraźnie zalecił, co następuje: (apostołowi brytańskiemu 591) świątyń samych niepsujcie, lecz posągi bożków, w nich stojące, budowy zaś same, pokropieniem wody, ołtarzami i relikwiami ŚŚ. zamieniajcie na przybytki chwały prawdziwego Boga, aby lud widząc niezniszczone świątynie *biegł po dawnemu do nich*, ale w nich wyznawał się z dawnych błędów i uczcił i poznawał Boga istotnego. Gdy zaś zwykle „dyabłom“ na ofiarę woły bito, należy pótem wymyśleć odpowiedni inny uroczysty użytek. Niech w dzień poświęcenia kościołów, lub urodzin ich Ś-ch patronów, szałase z gałęzi drzew powznoszą i religijną biesiadą uroczystość katolicką święcą. I niech nie dyabłu, ale Bogu na chwałę, a sobie na uczty zwierzęta biją, a dawcy wszech rzeczy niech za swą czystość dziękują. Tym sposobem pozostawiając im zewnętrzne uciechy, łacniej ich się przywiedzie do spółudziału w łaskach wewnętrznych. Bo nie ma wątpliwości, że niepodobna byłoby, tym twardym umysłom wszystko na raz odjąć.

W ten sposób św. Jerzy, walczący ze smokiem na koniu, zastąpił w Gnieźnie pogańskiego Niię, któremu w różnych stronach te atrybuty dodawano pojedyńczo.

W pobliskiej Kruszwicy, jak biskup Mateusz Cholewa donosi, jeszcze w XII wieku żyły wspomnienia Swantewita, ukrytego na sposób Rugian, pod nazwą katolicką świętego Wita. Opowiada nam ten kronikarz, że w chwili, gdy Bolesław Krzywousty szedł na apostolską wyprawę przeciw Nakłu jeszcze pogańskiemu, na dachu kościoła św. Wita w Kruszwicy, zjawia się młodzian niezwykłego stroju i postawy. Blask od tego zjawiska się rozchodzący oświecił nietylko samo miasto, ale nawet i przedmieścia napełnił.

Swantewit rugijski, wedle niektórych, od światła, które podobnie w koło siebie szerzy, wziął swe miano. Nie tu koniec podobieństw. Młodzian ów, dzierżąc w ręku złotą włócznię, (Swantewit wyjeżdżając na boje z wrogami swemi, używał miecza), zeskakuje z dachu, kroczy przed hufcami idących także na walkę z przeciwnikami swej wiary wojsk Bolesława. Podszedłszy pod Nakło, rzuca włócznią w gród.... co wywołuje w Bolesławie nadzieję tryumfu.... i znika. Tak samo bożkowie słowian pogańskich w bojach im przewodniczą, i wróżby o ich rezultatach czynią.

Dwa te przykłady zdaje się wystarczą, aby usprawiedliwić zdanie, że metoda ta, przekształcająca zabytki pogańskiego kultu na podobne im zjawiska i formy nowej wiary, niedawała powodu neofitom do oporu, niepodniecała ich prześladowaniem zbytecznem do zbyt fanatycznej miłości dawnych bogów. Z drugiej zaś to strony niekładła stanowczej tamy powrotowi do pogaństwa, owszem wielce takowy ułatwiała. Klątwa Radyma-Gaudentego pierwszego arcybiskupa gnieźnieńskiego, rzucona była z pewnością za takie zboczenie na dawne tory. Z czasem wystawiono sobie, że klątwa ta pociągnęła za sobą dotykalniejsze skutki, bo najazd Czechów po ucieczce Ryksy i Kazimierza-Karola I., wyludnienie następne kraju i spustoszenie jego takie, że dzikie zwierzęta założyły swe legowisko w świątyniach św. Wojciecha w Gnieźnie, a św. Piotra w Poznaniu.

Wtedy nawet przeciw samemu Gaudentemu-Radymowi i jego najbliższemu, klątwa ta niejako się obróciła. Bo, oto Czesi wraz z zwłokami biskupa św. Wojciecha, zabrali też i śmiertelne szczątki Gaudentego, arcybiskupa, zmarłego około 1006 roku.

Dla Bolesława-Magnusa I, tak wiadomość o podróży cesarza do jego krainy jak i same odwiedziny, były zwiastunem zmian nieprzewidywanych, początkiem uczuć, myśli i dążeń, zgoła dotąd nieistniejących. Otto III, zasłyszawszy o cudach, które się działy za sprawą Boga a pośrednictwem miłego Mu męczennika Wojciecha, wydał już, jak widzieliśmy, dyplomy erekcyjne pospołu z papieżem Sylwestrem II, 999. Zaś obecnie w 1000 r. zamierzył udać się do Gniezna, w celu odprawienia modłów i odbycia spowiedzi (reconciliacio), na onego grobowcu. Towarzyszył cesarzowi w pobożnej wędrówce Gizyler, arcybiskup magdeburski, po przywróceniu dyecezyi merseburskiej, nieprawnie dzierżący dwie infuły, i o to przed sądy obu najwyższych władzców Europy powoływany; obecnie zwierzchnik duchowny poznańskiego biskupa, a niedawno całej Polski. Krom wątpienia i Gaudenty nowy arcybiskup gnieźnieński znajdował się w orszaku Ottona, wracając z nim z Rzymu, choć Dytmar jego niewspomina, a mówi tylko o przyjęciu uroczystem, przez Ekiharda margrabiego, zrobionem cesarzowi, w swem mieście Miśnii.

Ekihard ten był we wielkiem poważaniu u cesarza; jego łasce zawdzięczał, że większą część lennictw otrzymał na własność. Po śmierci Rygdaga (985 r.), margrabi Miśnii poprzedniego, teścia Bolesława Magnusa, Ekihard objął Miśnią jako elekt mieszkańców, pomimo, że syn Rygdaga-Karol żył jeszcze do 1012 r., a Czesi dotąd ją dzierżyli tytułem zaboru. Ekihard wymarł stanowczo najeźdźcom, i niepoprzestając na tem, gdy po śmierci biskupa Wojciecha, Otto III naznaczył dyeceźnikiem pragskim Tydaga, a Bolesław III rudy, nowy książe czeski (od 999 do 1002) nieraz tegoż Tydaga wypędził, Ekihard wygnańca tyleżkroć do godności i stolicy właściwej przywrócił. Okoliczność ta wyrobiła pewien stosunek zależności faktycznej między Czechami a nowym margrabią Miśnii, który obrany jeszcze przez Turyngów wolnemi głosami na księcia, upokorzył nadto dotąd nieuległych, mimo najazdów Gerona, Milzienów, i wszedłszy przez to w bezpośrednie sąsiedztwo Bolesława polskiego „groźbą i pochlebstwem uczynił go od siebie zależnym.“ Okoliczność ta może nam tłómaczyć, czemu Ekihard, jako bezpośredni zwierzchnik Bolesława-Magnusa znalazł się w orszaku gości, którym książę ten polski zabiegł drogę na granicach swego państwa w miejscu Iławie (Eilau), a żupie Diedesa, już znanej koło Narodz-Chr. pod nazwą Lachów Didunów, jacy ją zamieszkiwali wtenczas.

(*D. c. n.*)

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY

według wskazówek Froebla

przez

BERTĘ MEYER.

(Dalszy ciąg).

Jeżeli sami żyjecie prawdą i nigdy, nawet żartem nie kłamiecie, z łatwością możecie dopiąć celu, gdyż dziecię pójdzie za waszym przykładem. Uczeni i pedagogowie uważali, że wychowanie powiększej części działa przecząco; oddalajcie od duszy dziecięcia złe, a dobre samo z siebie na jaw wyjdzie.

Jeżeli dziecię jest mocno przekonane o waszej nieomylności, nigdy kłamać nie będzie, więcej jak przykład, wykazuje tu swoje skutki atmosfera prawdy i szczerości, która przeważny wpływ wywiera na duchową organizacyę dziecięcą.

„Moje kochane dziecię, nie powie mi nigdy żadnego kłamstwa!“ powtarzajcie waszym synom i córkom, a przyuczycie ich do unikania fałszu, gdyż powtarzam, dziecię każde jest z natury szczere i tylko wpływ postronny, może je do kłamstwa usposobić.

Im dziecię jest łagodniej prowadzone, tem wcześniej objawia się w niem uczucie miłości i ufności ku rodzicom; kłamstwo nie przychodzi mu nawet na myśl, gdyż ojcem tej szkaradnej wady jest strach—słabość charakteru zaś jej matką. Dziecię początkowo kłamie tylko z bojaźni, a wkorzenienie kłamstwa rodzice sami sobie przypisywać powinni. Dziecię z bojaźni kary zaczyna mówić nieprawdę—tłómaczy się, płacze w odpowiedziach, jeżeli się zaraz na nie krzyknie, zagrozi karą, dziecię przestraszone, gdy burza minie, zaczyna rozmyślać nad srogością rodziców i nieznacznie wkrada się w jego umysł to przekonanie, że ten raz karę otrzymało z powodu złego tłómaczenia się i że gdy innym razem lepiej i zgrabniej wykłamywać się będzie, uwierzą mu.

Jest to myśl najzgubniejsza, która ze swojem pojawieniem się, podkopuje odrazu wszystkie dobre przymioty duszy i umysłu, a ten ostatni zwraca ku kłamstwu i szukaniu wymówek. Odtąd nic już świętego nie będzie dla tak zwichniętego umysłu! Będzie on upatrywał przyjemność w złem postępowaniu, ufny w swą przebiegłość, i w to, że wymówkę łatwo znaleść potrafi.

Najmłodsze dzieci mają zwyczaj rozpowiadania najrozmaitszych bajeczek, wymyślania najprzeróżniejszych historyjek. Nierozsądni i zaślepieni rodzice, cieszą się wybujałą imaginacyą dziecka, rozpytują się o dalsze szczegóły—i tym sposobem, jeszcze więcej zaprawiają je w kłamstwie. Dziecię rozumie dobrze, że opowiadanie podobne, bawi was i śmieszy, popisuje się więc przed wami z tą przedwczesną poezyą, a wy zamiast zwrócić jego uwagę na coś prawdziwszego, jeszcze je podniecacie do nowych zmyślonych powiastek. I cóż to szkodzi, odpowiecie mi, niech się dziecię zabawi! O! mylicie się szanowni czytelnicy, dziecię na wszystko, na każdą najbłahszą czynność seryo patrzy, a od wymyślania niestworzonych baśni, do oszukiwania w rzeczach pomniejszych, jest tylko krok jeden, który przestąpiony, do zguby prowadzi.

Są innego rodzaju opowiadania, które należy odróżnić od pierwszych.

Tu mowa o porównaniach, które dzieci najczęściej fałszywie cytują.

Naprzykład, dla oznaczenia odległości, mówią: „To tak daleko, jak stąd do księżyca“. Jakież dziecię może mieć pojęcie o tak wielkiej odległości, jaka jest między kulą ziemską, a tą planetą. Jemu się zdaje, że to bardzo blisko i że gdybyście chcieli, tobyście mu księżyc dali w rączki.

Jedna czteroletnia dziewczynka, dla oznaczenia, że swoję mamę bardzo kocha, mówiła: „Mamuniu, ja cię kocham tysiąc milionów razy!“ Dziecię mówiło nieprawdę, a jednak gniewać się na nią nie można było, gdyż dziecię nie mówiło tego z nieszczerości, lecz nie umiało lepiej oznaczyć swojej miłości dla matki. Otóż to jest różnica, między kłamstwem wymawianem przez dzieci z rozmysłem, dla pokrycia swego przewinienia, zatajenia prawdy, lub oskarżenia drugich, a nieprawdą mówioną z niewiadomości, z niedostatku pojęcia odległości lub znaczenia liczb.

Ta sama dziewczynka, na miesiąc przed zaczęciem roku piątego, kiedy ją wstydzono, że w nocy koniecznie z mamą lub nianką sypiać pragnie, wymawiała się: „Ja jeszcze maleńka jestem, więc mamy i niani w nocy potrzebuję,

ale jak zacznę piąty rok, nigdy już ich do siebie wołać nie będę!"

Dziecku się zdawało naprawdę, że zaczynając rok piąty, stanie się odrazu dorosłą osobą i w prostocie ducha przyrzekła poprawę, matka jednak korzystając z tej drobnej okoliczności, kiedy dziewczynkę w dzień jej urodzin ułożono spać, przypomniała jej dane przyrzeczenie nie wołania więcej w nocy matki lub niańki i jeśli się to jeszcze niekiedy zdarzało, odprawiała dziecię do łóżka tą odpowiedzią: „Pamiętaj coś przyrzekła!" Dziewczynka, w której tym sposobem obudziła się ambicya, dotrzymała wiernie obietnicy i w dalszem jej życiu, myśl, że co przyrzekła, należy dotrzymać, uchroniła ją od wielu złych postępków.

I na tym przykładzie, aczkolwiek dość pospolitym, zakończymy ten ustęp o prawdomówności dziecinnej, przekonani, że rady te, trafią do serc macierzyńskich i pomogą im do ustrzeżenia dziatek od kłamstwa i nieszczerości.

Od prawdomówności przechodzimy do wstydliwości. Niech dzieci wstydzą się tylko swoich złych uczynków, odzywa się jeden z naszych starych moralistów; co do nas podzielamy najzupełniej jego zdanie, i dla tego pozwolimy sobie nadmienić rodzicom o tem, ażeby zawsze przyzwyczajali dzieci do czystości i porządku, tak wielki wpływ wywierających na zdrowie fizyczne, ażeby niedozwalali małym dziatkom, wyrażać się w sposób nieprzyzwoity, używać nieprzystojnych wyrazów, które tak często w garderobie pomiędzy sługami posłyszeć mogą.

Zresztą mało nam o tym przedmiocie do mówienia pozostaje. Gdyż czego ma się dziecię wstydzić? Swojej postaci, gdy przecież Stwórca nic tak pięknie nie uformował, jak małe dziecię? Kiedyż ta mała istota czuje się najszczęśliwszą? Oto wtedy gdy ją rozbiorą, kiedy może bez najmniejszej zawady poruszać się, kopać nóżkami. I czyż ten może kogo gorszyć? Nic zgubniejszego, jak wpajanie w dzieci, tego fałszywego wstydu, który nakazuje to wszystko przykrywać, gdzie oko dziecinne widzi tylko niewinność i rzeczy zupełnie naturalne, przykrywając zaś je starannie z rozkazu rodziców i starszych, pomimowoli usiłuje zbadać, dlaczego na to uwagę zwracają—chce odgadnąć przyczynę tej przedwczesnej wstydliwości i wstępuje na najgorszą drogę. A wy szanowni rodzice i nauczyciele, chcąc uniknąć złego samiście je przyspieszyli i rozwinęli. Jeżeli prawda i szczerość są kwiatami, zdobiącemi prawdziwie moralną naturę, to wstydliwość jest pięknym pączkiem, który sam rozkwita bez pomocy ludzkiej. Rozwijanie go zawczasu, śmierć mu zadaje.

Jednę wam radę szanowni czytelnicy dać możemy, bądźcie sami tem, czem chcecie, ażeby wasze dzieci były, a wszystkiegoście dopełnili czego od was żądać można.

Moglibyśmy tu przytoczyć kilka rad praktycznych, ale że one wchodzą więcej w dział fizycznego wychowania, i że oprócz tego powszechnie są znane, wolimy je pominąć.

Uczmy dzieci tego, co jest niezbędnie potrzebnem, wstrzymujmy się od wszystkich złych nałogów.

Nie rozdzielajcie chłopców od dziewczynek. Pamiętajcie, że od najdawniejszych czasów, przekonano się iż chłopcy i dziewczęta razem się chowając zatrzymali do końca życia tę piękną, a tak rzadką w naszych czasach cnotę moralności, czego powiedzieć nie możemy o innych, których starannie rozdzielano.

W Ameryce poszanowanie dla płci pięknej jest tak wielkie i moralność tak ogólna, że świat stary dotychczas wydziwić się jej nie może, a pochodzi to jedynie z tego powodu, że chłopcy i dziewczęta, chowają się tam i uczą społem, aż do ławek szkolnych. Jest to jedna z wielkich zasad, jeden z dobrych przykładów, których nowy świat mógłby nauczyć starą półkulę ziemską, gdzie przesada co do utrzymania moralności, sprowadziła poniekąd zupełny jej upadek.

Niedowierzam dwunastoletniej dziewczynce, która się oburza na myśl, że młody mężczyzna mógłby wejść do jej sypialni. Niewinność nie wiedząc o żadnem niebezpieczeństwie, nie lęka się go—a matka, która córce mówi, iż potrzebną jest rzeczą, ażeby podczas lekcyi udzielanej przez nauczyciela, ona lub guwernantka, siedziały w tym samym pokoju z obawy, że nauczyciel mógłby chwaląc uczennicę, uścisnąć ją lub pogładzić po główce, naprowadza swe dziecię na złą drogę — nasuwa jej myśli, o którychby wiedzieć nie powinna.

O, zostawcie dzieciom waszym jak można najdłużej tę piękną prostotę i niewinność; tam tylko gdzie dziecię jest przyzwyczajone do grubiaństwa i łajania, do przekleństw i narzekań, tam tylko wstydliwem nigdy nie będzie.

Nie bójcie się, cnota sama się rozwinie, skoro natura jej potrzebę uzna. „Pieśń nad pieśniami, tak pięknie mówi: Nie budź miłości, dopóki sama tego nie zażąda, to samo można też o wstydliwości powiedzieć, sama się obudzi, gdy na nią czas przyjdzie.

ROZDZIAŁ V.

Religijność dziecinna.

„Dopóki imiona Bóg i Stwórca istnieć będą w językach ludzkich, dopóty człowiek zawsze będzie się zwracał myślą do nieba!" Tak mówi Jan Paweł Richter. Jakże więc to uczucie w dziecię wpoić? Oto w każdem ważniejszem zdarzeniu, czy to w smutku, czy w radości, wymawiajcie z należną zawsze czcią to święte imię Bóg, mówcie dziecku, że z Jego woli wszyscy żyjemy, i że wszystko co mamy, lub co się z nami dzieje, staje się z Jego woli i rozporządzenia, a dziecię wcześnie przywyknie z każdą wznioślejszą myślą, łączyć imię boskie.

„Newton, który słysząc wymawiane imię boskie, zawsze zdejmował nakrycie głowy, mógłby być najlepszym nauczycielem religii i to bez dawania lekcyi katechizmu i wykładania wszystkich dogmatów religijnych", mówi Jan Paweł. Zgadzamy się najzupełniej z jego zdaniem, gdyż dla wpojenia w pamięć czegoś tak wzniosłego i tajemniczego, jednem słowem niepojętego jak Bóg, potrzeba odrazu wywrzeć czem dotykalnem wpływ na umysł dziecinny—przejąć go odrazu trwogą i bojaźnią a zarazem czcią uszanowaniem i miłością ku Stwórcy wszech rzeczy; z czasem i stopniowo dopiąć tego nie można. Trudno sobie wyobrazić ile uczuć wzniosłych i świętych spoczywa w dziecięciu, czekając przebudzenia; jedno tylko jest dowiedzione, że świętość pierwej w niem zamieszkuje niż grzech, niewinność pierwej niż złe nałogi, ideał wprzód niż rzeczywistość.

Jeżeli dziecię was kocha i jest wdzięczne za starania, łożone około jego wychowania—za każdą przyjemność wam dziękuje, mówcie mu wtedy że to pan Bóg, przez ręce wasze mu ją daje, że bez Niego, nic byście temu ukochanemu dziecięciu dać nie mogli. Uczcie je, że pan Bóg wszystkich nas stworzył, że on daje słońce i piękne drzewa i wodę i pachnące kwiaty i smaczne owoce. Po użyciu jakiejkolwiek przyjemności, dziękujcie za nią Stwórcy społem z dziatkami waszemi, a mimowolnie wejdzie to w zwyczaj i utrwali w nich pobożność i wdzięczność za odbierane dobrodziejstwa.

Pacierze dziecinne, nie powinny być długie; niewinne ich rączki, złożone pokornie do modlitwy, oczki wzniesione ku niebu i parę słów dziękczynnych wymówionych prostemi dziecinnemi słowy, więcej się Bogu podobają, niż długie modlitwy, posty i umartwienia osób dorosłych.

W pierwszych latach wieku dziecinnego, nic więcej nie macie do czynienia. Dalsze rozwijanie pobożności należy zostawić do wieku późniejszego.

Na tym krótkim poglądzie zakończymy pierwszą część naszych rad jakie dla was szanowni czytelnicy skreśliliśmy tu, opierając się na zdaniu najsławniejszych pedagogów i naszego wielkiego mistrza Fryderyka Froebla; on kochał dzieci, zatem jego metoda nie może być złą. Zwracamy się jeszcze raz do matek, prosząc je o troskliwą i czułą opiekę nad dziećmi, o miłość, względność i pobłażanie, połączone z siłą woli, rozsądnem i stanowczem postępowaniem; niech pamiętają o tem że siła narodów wykształciła się w pokoju dziecinnym pod kierownictwem rodziców i nauczycieli; że z tych dzieci, których charakter rozwijać mają, wyrosną przyszli obywatele kraju, przyszli członkowie społeczeństwa.

(D. c. n.)

NIEBIESKA SUKIENKA,

POWIASTKA.

PRZEŁOŻYŁ Z FRANCUSKIEGO

B. Pohorecki.

(Dokończenie)

XVII.

Poseł.

Tego samego dnia w południe Rudolf wyjechał.

Van Coppenaël nie opuszczał go na chwilę, odprowadził do dworca kolei żelaznej, nudząc rozmaitemi zleceniami.

Po wyjeździe swego przyjaciela, Holender do tego stopnia był przejęty obawą, że zapomniał nawet o zwyczajnej grze na flecie. Chodził ustawicznie po pokoju, mrucząc coś pod nosem, a swoją herkulesową postacią wyprawiał pocieszne pantominy.

Tymczasem Rudolf z ojcem narzeczonej Holendra, prowadził następującą rozmowę:

— Panie,—rzekł Rudolf—gdy usiedli w małym gabinecie przytykającym do kancelaryi stacyi—interes jaki mnie tu sprowadził, wymaga, abyś pan wiedział z kim masz do czynienia. Jestem wice-hrabia Rudolf Frenays.

— To do pana należy la Roch-Cardon?—zapytał ojciec.

— Do mojej matki panie.

— Bardzo ładny majątek!—rzekł stary urzędnik—położony między Beaugency i Valencay. Znam go bardzo dobrze. Macie państwo także mały Chelut i połowę lasu d'Ouilles.

— Wiesz pan o tem wszystkiem daleko lepiej odemnie, rzekł z zadziwieniem Rudolf.

— Cóż dziwnego, mieszkając w jednej okolicy,—Orlean i Etampes, to prawie jedno.

— W takim razie — rzekł Rudolf, bardzo mi przyjemnie, że mnie pan znasz cokolwiek. Przybyłem tu w celu poproszenia pana o rękę pańskiej córki dla jednego z moich przyjaciół.

Ojciec na te niespodziewane słowa, cofnął się z krzesłem i spojrzał na Rudolfa. Sądził, że jest przedmiotem mistyfikacyi. Ten zaś mówił dalej:

— Pan Van Coppenaël, z Lejdy, — osoba o której mowa—jest bardzo zacnym i uczciwym człowiekiem. Co się tyczy majątku, nie sądzę, aby w tem była jaka przeszkoda; jest bogatszy odemnie i pod tym względem, kobie-

tę która wyjdzie za niego, z pewnością nie będzie mogła drugiej zazdrościć; przytem, rodzina mego przyjaciela jest jedną z pierwszych w Holandyi. Czekam na pańską odpowiedź.

Stary urzędnik nie wiedział co myśleć o tej dziwnej propozycyi. Czyżby to był sen? Jednak uznał za stosowne nie okazać po sobie zdziwienia; dość długo żył na świecie i widział wiele rzeczy. Spoglądał ciągle na Rudolfa; ten zaś poważny i zimny, jak godny przedstawiciel Van Coppenaëla, oczekiwał odpowiedzi.

— Sądzę, odrzekł urzędnik tonem niepewnym, że to co mi pan raczył powiedzieć, jest zupełną prawdą; to też niech się pan nie dziwi, że jestem cokolwiek pomieszany. Pozwól mi pan zapytać się, czy pan....

— Van Coppenaël.

— Czy pan Van Coppenaël zna moję córkę, i jakim sposobem ją poznał?

— Pan Van Coppenaël miał sposobność często przejeżdżać z Paryża do Orleanu; miał szczęście zauważyć pańską córkę—i kocha ją!

Wyjaśnienie to niezadowoliło w zupełności starego urzędnika. Widocznie jeszcze nie ufał.

Rudolf mówił dalej:

— Muszę jeszcze dodać, że pan Van Coppenaël, ma swoje przyczyny, które panu później wyjawię, aby prędko zawarzeć to małżeństwo. Pojmiesz pan z czasem, że to, co teraz zdaje się panu szczególnem, jak również i mnie, może być wynikiem bardzo logicznego rozumowania cudzoziemca.

Rozmowa toczyła się dalej.

— Nie spytałem pana jeszcze, rzekł Rudolf, czy pan nie zwrócił już uwagi na kogo? Może pan ma kogo na widoku? Jestto kwestya bardzo ważna w tej sprawie.

Moje urzędowanie, odrzekł, przynosi mi rocznie około trzech tysięcy franków; kiedy się nie jest bogatym i ma córkę ani brzydką ani ładną, nie myśli się wtenczas o zięciu. Mogę panu zaręczyć, że moja córka niemiała czasu zajmować się miłostkami. Jest wychowaną przeze mnie,—po żołniersku.

— To bardzo dobrze, odrzekł Rudolf.

— W każdym razie trzeba się jej podobać, rzekł ojciec śmiejąc się; bo bez niej nie można nic stanowić,

I zawołał:

— Ludwiko!

Młoda dziewczyna ukazała się — świeża i czysta, — wiecznie w swojej niebieskiej sukience.

— Ten pan pszyszedł prosić mnie o twą rękę dla jednego z swoich przyjaciół.

— Ależ ojcze... rzekła z pomięszaniem.

— No jakże? odpowiedz! Ale—czy pański przyjaciel jest przyjemnej powierzchowności? bo to także rzecz dosyć ważna.

— W tej sprawie byłbym złym sędzią, odrzekł Rudolf. Lecz pani, być może zauważyła młodego, wysokiego—bardzo wysokiego blondyna, który się tu często zatrzymuje.

— Czy wiesz o kim mowa?

— Nie, ojcze, odrzekła Ludwika trochę zawstydzona, chyba, że to ten sam wysoki pan z którym się pan raz zatrzymał tutaj? Mieliście panowie z sobą chłopczyka,—będzie temu przeszło dwa miesiące.

— To ten sam, pani.

Młoda dziewczyna spuściła oczy, zapewne żałując, że okazała tyle pamięci.

— A więc, rzekł ojciec, to bardzo dobra partya dla ciebie,—trzeba ją przyjąć.

— Pan Van Coppenaël, byłby bardzo zmartwiony, rzekł Rudolf, gdyby decyzya pani nie pochodziła od niej samej,

— Moja córka w tym względzie nie ma swojej woli, odpowiedział ojciec, nieprawda Ludwisiu? Zgoda! panie wicehrabio, dodał, niech pański przyjaciel przyjeżdża!

XVIII.

Radość Gotlieba.

Rudolf wyszedł, zarówno niekontent jak i zadowolony, że mu się tak dobrze powiodło, i naraz spostrzegł przed domem szerokie oblicze Gottlieba, dającego mu znaki, aby się przybliżył.

— Mój pan jest tutaj, rzekł. Wyjechaliśmy prawie jednocześnie pociągiem pospiesznym. Czeka na pana.

— Ot, jak Holender się spieszy! pomyślał Rudolf.

Van Coppenaël czekał na niego blady...

Rudolf opowiedział mu w dwóch słowach o rezultacie posłannictwa. Van Coppenaël rzucił mu się na szyję i o mało z radości nie udusił. Podskakiwał machając swemi wielkiemi rękami.

Tego samego dnia nastąpiło urzędowe przedstawienie. Rozmawiano o kolei żelaznej, deszczu i pogodzie. Przyszły małżonek został bardzo przyzwoicie przyjęty; wzbudził nawet w Ludwice ciekawość, co jest zawsze dobrym znakiem.

Nie powiem wam o wielkich przygotowaniach toaletowych, jakie miały miejsce, przed widzeniem się. Gottlieb o mało co nie ołysiał, przedstawcie sobie jego kłopot, jego niezgrabność.

Trzeba jednak spieszyć ku końcowi:

Przed powrotem do Paryża, Van Coppenaël poprosił swego teścia, aby mu pozwolił pomówić na osobności z Ludwiką. Jego fizyognomja była z tych, którym się podobnych rzeczy nie odmawia.

— Pani, rzekł do niej w framudze okna, wiesz dobrze o co chodzi. Jeżeli pani zechcesz przyjąć mnie za męża, uważam się za uczciwego człowieka i będę się starał uszczęśliwić ją. Lecz jeżeli masz jak najmniejszy skrupuł, jak najmniejszy zarzut, proszę panią bardzo mieć we mnie zaufanie i otwarcie go powiedzieć.

— Panie, odpowiedziała Ludwika, wzruszona jego słowami, sądzę, że będę szczęśliwą spełniając wolę mojego ojca.

Van Coppenaël zachwycony ścisnął ją za rękę.

Powracając do Paryża, Rudolf rzekł do Holendra:

— Teść chciał ze mną pomówić o interesach; dałem mu adres twego plenipotenta. Ponieważ te rzeczy znudzą cię zapewne, zajmę się tem; dasz mi tylko jutro wszystkie potrzebne papiery.

— Dziękuję ci, rzekł Coppenaël z wymownem uściśnieniem ręki.

Gottlieb upojony szczęściem swego pana, trzy razy nadeptał na nogę Rudolfa.

— Uważaj że niedołęgo! zawołał ten niecierpliwie.

XIX.

Rozczarowanie.

Rudolf jak obiecał, zajął się czynnie interesami swego przyjaciela; nie opuszczał wcale Etampes, zaprzyjaźnił się z teściem, porobił stosunki z tamtejszymi mieszkańcami, starając się zasięgnąć wiadomości o rodzinie przyszłej małżonki Van Coppenaëla.

Nakoniec wielki dzień nastał.

Van Coppenaël był piękny jak... księżyc; bojąc się spóźnić, o czwartej rano był już na nogach.

Gottlieb był równie wspaniały. Nigdy nie widział się tak pięknie ubranym: na jego grubej szyi wisiał, powstrzymywany podwójnym łańcuchem, jak order złotego runa, piękny genewski zegarek, podarunek ślubny jaki otrzymał od swego pana. Gottlieb pierwszy raz w życiu zdjął na chwilę z głowy kapelusz, aby go oczyścić.

Mieli się udać do notaryusza dla podpisania kontraktu, oczekiwano tylko na Rudolfa, jako pierwszego świadka, który podług zegarka pana Gottlieba, powinien był już przed kwadransem przybyć.

Van Coppenaël był w desperacyi:—jeżeli notaryusz zacznie się niecierpliwić,—i wyjdzie sobie!

W chwili, kiedy nie czekając na Rudolfa, zdecydowano się wyjść,—sądząc, że go zastaną w kancelaryi, — przyniesiono z wielkim pośpiechem list do Van Coppenaëla. Holender przeczytał go,—i wszyscy zauważyli, że bardzo zbladł. Gottlieb, który z całem towarzystwem zabierał się do wyjścia, spojrzał na swego pana z wielką niespokojnością.

Przeczytawszy, Van Coppenaël schował list do kieszeni,—i wszyscy wyjechali.

Wicehrabia de Frenays, wchodził jednocześnie do natyryusza.

— No i cóż? rzekł pytająco do swego przyjaciela.

— Stało się! rzekł Van Coppenaël, który tylko co podpisał umowę ślubną.

Rudolf, zanim wziął pióro do ręki, popatrzał na swego przyjaciela, lecz widząc, że ten unika jego wzroku, zaczął powoli podpisywać swoje nazwisko.

— Kto wie?... rzekł do niego półgłosem Holender spoglądając w niebo.

List, który otrzymał Van Coppenaël pochodził od Rudolfa i był następującej treści:

„Kochany przyjacielu, jeżeli jeszcze czas, porzuć twój projekt tak lekko powziąty! Tylko co odkryłem tajemnicę; oby Bóg dał, żeby odkrycie to zmieniło twoje postanowienie!

„Ludwika, twoja przyszła, ma trzynaście niebieskich sukienek.

„Ojciec jej zmuszony był przyjąć tę sztukę perkaliku od niewypłacalnego dłużnika.

„O godzinie punkt dziewiątej będę u p. B. twojego naturysza."

„Rudolf"

XX.

Musimy dodać,—dla zadowolenia naszych czytelników,—że te trzynaście niebieskich sukienek, nic nie okazały,—ani za,—ani przeciw.

Van Coppenaël był bardzo szczęśliwym w małżeństwie.

KONIEC.

ROZMAITOŚCI.

— Budowa **teatru w Poznaniu,** wkrótce ukończoną zostanie—do zupełnego ukończenia pozostają tylko niewielkie roboty wewnątrz i zewnątrz gmachu. Pierwsze amatorskie przedstawienie prawdopodobnie danem będzie w dniu 15 kwietnia b. r. odegraną ma być komedya Korzeniowskiego: „Wąsy i Peruka.“ Poprzedzi ją Prolog, umyślnie na ten cel napisany. Po tem przedstawieniu, aż do chwili spodziewanego przyjazdu teatru krakowskiego, mają być ciągle dawane przedstawienia amatorskie, z których dochód przeznaczono na pokrycie kosztów budowy teatru. Co do urządzenia stałego polskiego teatru w Poznaniu, to jako kandydaci na dyrektorów, ubiega się już pięć artystyczno-przemysłowych osobistości, których liczba prawdopodobnie z czasem się powiększy—a czasu do zapadnięcia ostatecznej decyzyi dosyć, gdyż kwestya ta dopiero w Październiku b. r. ma być roztrzygniętą.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr. 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawa, **Bronisław Przyrembel.**